

Michał HELLER

UWAGI O ETYCE I METODYCE PRACY NAUKOWEJ

Dedykuje Uczniom i Współpracownikom

Metodyka pracy to zbiór technicznych recept, jak dobrze pracować. Ale praca naukowa jest szczególnego rodzaju. W pracy naukowej zbiór technik pozostanie bezsilny, jeżeli nie przeniknie do głębszych warstw psychiki. Techniki muszą spleść się z włóknami stanowiącymi ośnowę osobowości, muszą przemienić się w styl bycia. Dopiero wtedy mogą wydać owoce. Owoce, a nie zwykły produkt. Produkt jest wynikiem mechanicznej obróbki i pozostaje na zawsze kawałkiem martwej materii; owoc odłącza się od żywej tkanki i od początku zawiera się w nim zapowiedź dalszego rodzenia. Wszystko to sprawia, że metodyka pracy naukowej musi być równocześnie jej etyką.

*

Twórczość (a praca naukowa jest twórczością par excellence) bywa niebezpieczna. Gdy stanie się nieokielznanym żywiołem, może przedwcześnie pochłonąć wszystkie siły życiowe. Wówczas dzieło przeczute, zaledwie zarysowane, zwiędnie, zanim się narodzi, bo zbyt szybko wyczerpały się soki, którymi miało odżywiać się przez długie lata. Pozostanie wrak, świadczący o klęsce.

Ale bywa i inne niebezpieczeństwo, równie groźne, tyle że może pozostać na zawsze nieujawnione. To twórczość, której nie dało się szans. Wielkie plany, duże możliwości utopione w bezładzie codziennych czynności. Twórczość, która nie wytrzymała konkurencji z chodzeniem, rozmawianiem, jedzeniem, czytaniem i tysiącem innych ważnych spraw, które i tak musi się wykonać.

*UWAGA: Tekst został zrekonstruowany przy pomocy środków automatycznych; możliwe są więc pewne błędy, których sygnalizacja jest mile widziana (obi@opoka.org). Tekst elektroniczny posiada odrębną numerację stron.

Aby uniknąć tych (i wielu innych) niebezpieczeństw, etyka pracy naukowej winna szukać sprzymierzeńca w technikach jej wykonywania. Etyka bez technik się spali, techniki bez etyki pozostaną jałowe.

*

Oczywiście, że od początku wszystko jest związane z problemem ambicji. Czy bardziej idzie o to, by udowodnić sobie czy innym? Z pewnością ci inni stanowią ważny element w rozgrywce. Zbyt zajęci sobą i swoimi sprawami nie wiedzą — nawet nie mogą wiedzieć — ile wysiłków podejmuje się na ich konto, ile kropel potu wyciska się z powodu jednego ich słowa rzuconego mimochodem. Takie słowa zwykle znaczą więcej niż oficjalne uznanie. Zresztą i Nagrodę Nobla ceni się nie tyle ze względu na czek, jaki się z nią wiąże, ile raczej ze względu na to bezosobowe tło ludzi, którzy nigdy tej nagrody nie otrzymają.

Ambicje mają swoją stronę dobrą i złą: dobrą — bo dostarczają silnej motywacji do pracy; złą — bo mogą być (i nader często bywają) niszczącą siłą. To one zwykle zaciemniają ocenę i zniekształcają twórcze możliwości tego, kto nie potrafił zdobyć się na obiektywność.

Obiektywność sprowadza się do właściwej oceny samego siebie. Chłodno i bezstronnie: z odwagą uznania swoich niedostatków, z pokorą dojrzenia swoich uzdolnień i talentów. Tylko wtedy, gdy również słabe strony zostaną wliczone do rachunku, będzie można mierzyć nieco powyżej swoich możliwości i osiągnąć sukces.

Obiektywność w stosunku do siebie jest niezwykle trudną sztuką i tylko nieliczni potrafią ją praktykować. Owszem, czasem ludzie przekonani o swojej wielkości także osiągają wyniki, ale są one od samego początku jakby zaniżone brakiem obiektywności ich autora. Zresztą wraz z prawdziwymi wynikami patrzy się na siebie z coraz większym dystansem, coraz lepiej zna się swoje ograniczenia.

Obiektywność w stosunku do siebie jest tak trudną sztuką, ponieważ wymaga umieszczenia siebie w dwu różnych układach odniesienia: trzeba tkwić w sobie, by dobrze rozeznawać swoje wyposażenie, i trzeba wyjść poza siebie, by spojrzeć na siebie z boku i dokonać właściwej oceny. Jak wiadomo, trzeba było geniuszu Einsteina, by obserwacje wykonywane w różnych układach odniesienia powiązać w spójną teorię.

*

Bycie geniuszem nie jest warunkiem koniecznym twórczej pracy naukowej. Po świecie chodzą zastępy zapoznanych geniuszy, a nauka zawdzięcza wiele osiągnięć średnio zdolnym, ale solidnym, swoim pracownikom. Wystarczą więc dobre zdolności, ale nie wystarczy je tylko mieć — trzeba je rozwijać. Jednakże mrówcza praca, której jedynym celem jest zarabianie na codzienny chleb lub trochę więcej komfortu, to jednak za mało. Potrzebna jest pasja naukowa.

Co to jest pasja naukowa? Jak każdą pasję, trudno ją zdefiniować. Spróbuję jednak wymienić, przynajmniej niektóre jej elementy:

1. **Zainteresowanie przedmiotem;** więcej nawet, niejako utożsamianie się z nim. Trzeba o nim myśleć: „mój przedmiot”.

2. **Znajdowanie przyjemności w badaniu** swojego przedmiotu. Źródłem pewnej szczególnej radości może być ciekawość, jaką przedmiot budzi, lub sam proces badawczy — zmaganie się z oporem zagadnienia. Nie należy jednak wymagać od siebie nieustannego stanu ekstazy. Wystarczą chwile radości przeżywane z rzadka, od czasu do czasu. Dostarczą one wystarczającej energii do przetrwania tych długich okresów, w których dominującym czynnikiem jest zwalczanie trudności i odczucie zmęczenia.

Zresztą przyjemność z pracy naukowej niekoniecznie polega na intensywnym przeżywaniu. Wystarczy, że jest gdzieś w tle, że drzemie w półświadomości, której główny wysiłek jest skierowany na problem, jaki w tej chwili trzeba rozwiązać.

3. **Odwaga bycia trochę innym niż wszyscy inni** w otoczeniu. Choćby z tej racji, że dużo czasu, jaki inni poświęcają temu, co się robi, trzeba poświęcić nauce. Ale także z powodu pewnej psychicznej odmienności, wynikającej ze specyficznych zainteresowań (i braku innych zainteresowań!) związanych z uprawianiem nauki i z całą jej otoczką. Odwaga bycia innym w oczywisty sposób wiąże się ze wspomnianą umiejętnością rezygnacji z wielu przyjemności i nawyków towarzyskich, pielęgnowanych w naszym otoczeniu. Ale postawa ta nie powinna mieć w sobie niczego z cierpiętnictwa: pozabiam się tyłu, przyjemności, bo jestem inny (to ostatnie z lekkim odcieniem poczucia wyższości). Człowiek autentycznie uprawiający naukę nie traci niczego w porównaniu z innym; przeżycia, do jakich otwiera sobie drogę, są związane — jak ośmielam się sądzić — z przyjemnościami znacznie przewyższającymi swoim natężeniem „średnią w populacji”. Zresztą z czasem przychodzi, nasilające się z upływem lat, rozsmakowanie się w naukowych zmaganiach i wtedy każdą chwilę, jaką czasem musi się poświęcić konwen-

cjonalnym przyjemnościom, uważa się (już bez żadnego poczucia wyższości) za stratę czasu.

4. Motywacja pracy naukowej, gdyż nie ma prawdziwej pasji bez jej należytego umotywowania. Namietność do pracy (jak każda namietność) szybko się wypali, jeżeli nie będzie zakorzeniona w głębszych warstwach osobowości.

Kariera życiowa jako motyw pracy naukowej to jednak za mało. Postawienie wyłącznie na karierę wręcz klóci się z naukowym powołaniem. Kandydat na uczonego musi być gotowy na spędzenie nieograniczonej wprost liczby godzin za biurkiem lub w laboratorium, pomimo braku uznania ze strony otoczenia i często wbrew rozmaitym administracyjnym zobowiązaniom, których przestrzeganie jest nieuniknione, jeżeli chce się piąć po kolejnych szczeblach akademickiej drabiny. A więc jakie są motywy. Bywają różne: — dla przyjemności, for fun — jak mówią anglofoni, a my czasem w takich okolicznościach wspominamy o „przygodzie z nauką”; — służenie ludzkiej (albo narodowej) kulturze; — dążenie do poznania prawdy; — lub Prawdy i wówczas mamy do czynienia z motywacją typu religijnego.

Najczęściej wszystkie te motywacje (i może jeszcze inne) występują razem i trudno je od siebie oddzielić. Chęć dociekania prawdy niemal zawsze drzemie gdzieś w głębszych warstwach psychiki uczonego; niekiedy nawet wbrew jego własnym deklaracjom lub w pełni uświadomionym sobie intencjom. Motywacje typu religijnego też nie bywają rzadkie, zwłaszcza gdy do tej klasy zaliczyć postawy tych naukowców, którzy w nauce szukają elementu zastępczego religii.

5. Uczestniczenie w nauce jako w instytucji. To, co napisałem wyżej o uciekaniu od „administracyjnych zobowiązań”, należy potraktować z pewną poprawką. Praca naukowa to nie tylko biurko i laboratorium, ale również pewna ich otoczką. Dziś nie sposób uprawiać nauki poza instytucją zwaną nauką. I w życiu tej instytucji trzeba brać udział. W przeciwnym razie zejdzie się na margines. I to nie tylko na margines uznania, ale przede wszystkim czy później także na margines wartości osiąganych wyników. A więc trzeba być w swojej uczelni czy w swoim macierzystym instytucie; trzeba być w krajowej i międzynarodowej społeczności naukowców uprawiających daną dziedzinę (rady wydziału, konferencje, zjazdy, pisanie recenzji, rekomendacji itp.). Ale jednali bez przesady, tak żeby celebrowanie nauki nie zastąpiło jej uprawiania. Jest to niebezpieczeństwo, które narasta wraz z uznaniem i które bardzo zagraża w dojrzałym wieku. Jeżeli ktoś może pozwolić sobie na czytanie publikacji naukowych tylko w samolocie, wiozącym go z jednej

konferencji na drugą, to powinien zdać sobie sprawę z tego, że na konferencjach, w jakich tak często bierze udział, wygłasza referaty już wyłącznie o tym, co w nauce robiło się dawniej, w czasach, w których jeszcze ją uprawiał.

6. Zażyłość z książkami i czasopismami. To się rozumie samo przez się. Nieustanny kontakt z literaturą zawodową jest przecież istotną częścią naukowej strategii. Ale idzie także o coś więcej. Dobrze znając jedynie publikacje z zakresu swojej własnej specjalności, można być zaledwie niezłym rzemieślnikiem naukowym. Kandydat na uczonego musi „siedzieć w literaturze” naukowej w ogóle, a więc orientować się w nowościach sąsiednich specjalizacji, mieć kontakt z tym, co dzieje się w nauce rozumianej jako część ogólnoludzkiej kultury. By spełnić ten ostatni warunek, trzeba wyjść poza lektury ściśle naukowe i sięgać do książek oraz czasopism popularnonaukowych i półpopularnonaukowych (czyli takich, które informują naukowców o tym, co dzieje się poza ich, wąsko rozumianymi, specjalnościami). Tego wszystkiego nie da się osiągnąć bez pewnego (nie wahajmy się użyć tego słowa) ukochania książki. Praca uczonego skazuje go na samotność (choćby to była samotność w tłumie). Książka, nie niszcząc tej samotności, potrafi ją wypełnić.

7. Ślęczenie przy biurku. Punkt ten jest kwintesencją i niejako podsumowaniem wszystkich innych, o których pisałem wyżej, a także i tych elementów pracy naukowej, które w tym zestawie punktów pominąłem. Oczywiście, biurko jest tu swoistą metaforą: może nim być ruchliwe laboratorium lub noga założona na nogę jako podstawka do pisania w trzęsącym się po nierównych torach pociągu (jak to ma miejsce w chwili, w której piszę te słowa). Tak czy inaczej, naukowiec z prawdziwego zdarzenia lwia część życia musi spędzić przy tak czy inaczej rozumianym biurku. Jeśli ktoś nie potrafi się na to zdobyć, a pozuje na naukowca, jest tym, kogo zwykle określa się mianem hochsztaplera.

*

Ponieważ „ślęczenie przy biurku” jest tak ważnym elementem naukowej pracy, chcę omówić kilka cech, jakimi winno się ono odznaczać.

A więc najpierw systematyczność w pracy. Są ludzie o różnych charakterach: jedni pracują od godziny do godziny, inni stosują metodę „długiego skoku”, po którym następuje okres zwolnienia tempa i koniecznej regeneracji sił. Ale tak czy inaczej rozumiana systematyczność musi być istotną częścią strategii. Chaos jest jednym z największych wrogów osiągnięcia wyni-

ków. (Jeżeli kandydat na magistra lub doktora przedstawia mi projekt pracy, w którym strzałki, skreślenia, bohomyzy przeważają nad czytelnym tekstem, to jest to prawie nieomylnym znakiem, że nie będzie z niego większej pociechy.)

Osobiście jestem wielkim zwolennikiem prawa narastania. Codziennie 15 minut (jeżeli inne obowiązki nie pozwalają na więcej), daje około 80 godzin w roku (wliczając nieuniknione opuszczenia), a pamiętać należy, że dwie godziny wykładowe na semestr daje (również wliczając opuszczenia) nie więcej niż tylko około 30 godzin (wykładowych, a więc 45-minutowych). Czyli 15 minut codziennie to ogromna masa czasu. Pracując często, choć po trochu, nie dostrzega się postępu (i to może działać destrukcyjnie), ale wyniki narastają. Można w ten sposób wiele zrobić i wiele się nauczyć (zwłaszcza przy uczeniu się języków obcych lepsze są częste małe porcje niż duże nieregularne dawki).

Częścią strategii systematyczności jest wytrwale trzymanie się raz obranego tematu pracy. Temat winien być wybrany „z namysłem”, nie pochopnie, ale gdy raz się go wybierze, należy się go trzymać aż do ukończenia pracy lub do wykazania, że problemu nie da się rozwiązać lub że przewyższa on moje (obecne) możliwości (na ten ważny temat por. niżej). Są ludzie o niespokojnej ciekawości, których każda nowa książka, przeczytany artykuł lub wysłuchany odczyt wabią nowymi tematami, a tematy te nieodparcie wydają się o niebo ciekawsze i ważniejsze od przedmiotu aktualnej pracy. To jest bardzo niebezpieczna pokusa. Kto jej ulegnie więcej niż raz, jest skończony jako wartościowy pracownik nauki.

Jeszcze innym elementem systematyczności w pracy jest to, co nazywam umiejętnością pracy z doskoku. Bardzo częstą, wręcz nagminną, wymówką ludzi chcących zajmować się nauką jest zrzucanie odpowiedzialności za niewykonanie naukowych zobowiązań na tzw. trudności obiektywne: „to był dla mnie trudny okres”, „kłopoty w rodzinie”, „konieczność podjęcia pracy zleconej”, „problemy finansowe” itp., itp. Wszystkie te racje są na ogół prawdziwe, wszystkie pochłaniają czas i energię, wszystkie powinny być wystarczającym usprawiedliwieniem. Ale prawie nigdy (poza zupełnie wyjątkowymi okolicznościami) nie są. Życie jest pełne nieuniknionych codziennych spraw i jeżeli ktoś nie potrafi tak ich upchać, żeby pomiędzy nimi stworzyć choćby niewielkie, ale odpowiednio częste dziury, które mogłyby stanowić wystarczającą przestrzeń do pracy, to nigdy nie doczeka się dobrych warunków, mogących z niego zrobić uczonego. A jeżeli ponadto brakowi tej umiejętności towarzyszy zgorzknienie i pretensje do całego świata za stawianie prze-

szkód w sięgnięciu po Nobla, to najpewniejszy znak, że ma się do czynienia z człowiekiem, w którego nie warto inwestować.

Tworzenie tego rodzaju luk w zajęciach i wypełnianie ich dobrze zaplanowaną pracą nad jakimś programem (to może być program badawczy lub uczenie się czegoś) nazywam właśnie pracą z doskoku. Niektórzy ludzie odznaczają się dość długim „czasem rozbiegu”, tzn. okresem przygotowawczym (rozłożenie książek, przypomnienie sobie „na czym stanąłem” itp.), poprzedzającym etap właściwej pracy. Dla nich metoda „z doskoku” jest szczególnie trudna, ale doświadczenie uczy, że i w ich przypadku praktyka i wytrwałość prowadzą do zadziwiających rezultatów.

W miarę pięcia się po szczeblach drabiny naukowych tytułów zastraszająco wydłuża się czas, jaki musi się przeznaczać na pisanie opinii i wypełnianie rozmaitych formularzy. W sytuacji, w której nadmiar pracy administracyjnej szczególnie daje się we znaki, można zastosować metodę dwu stołów. Przy jednym stole (którym najczęściej będzie moje zwyczajne biurko) wykonuję prace administracyjne. Biurko jest zavalone bieżącą korespondencją, dokumentami do podpisania, stertami papieru, czekającymi na swoją kolejkę. Niestety telefon — ten największy wróg spokojnej chwili na pomysłenie — także bywa częścią biurkowego krajobrazu. Ale gdzieś w rogu pokoju, na uboczu, stoi inny stół, z moją bieżącą pracą naukową. Książki pootwierane w tych miejscach, w których je ostatnio czytałem, zapisana do połowy stronica i leżący na niej długopis czekają na dalszy ciąg. Wzrok często biegnie ku temu stalowi. Myśli półświadomie błkają się wokół urwanego w pół zdania akapitu. Gdy znajdę luksus piętnastu minut dla siebie, dopiszę drugą jego połowę. Jeżeli tylko wytrwam w tej strategii, prawo narastania z pewnością zrobi swoje.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Michał Heller